

Prywatyzacja szpitali a sprawa polska

22 czerwca 2010

Podczas obecnie trwających wyborów prezydenckich jeden z kandydatów zarzucił drugiemu, że ony chciałby prywatyzować szpitale. Kwestia okazała się tak paląca, że "oskarżony" podał do sądu w trybie wyborczym oskarżającego. Prywatyzowanie szpitali okazuje się tak wielkim złem, że wstyd się do tego przyznać. Gorzej, ktoś kto zaproponowałby na poważnie takie rozwiązanie staje się niegodnym zaufania, wręcz mającym zamiar szkodzić Narodowi. Można więc z tych zachowań wywnioskować, że polskie szpitale są w kwitnym stanie, zaś pacjent jest tam najwyższym dobrem. Tylko, że ja chyba w takim razie żyję w jakiejś gorszej Polsce...

Pozwolę sobie przytoczyć historię, której całkiem niedawno byłem świadkiem, ba, czynnym uczestnikiem. Opowieść, choć prawdziwa, niewątpliwie jest subiektywna, a zarazem jest przykładem jednostkowym i niewymiernym, jestem tego w pełni świadom. Dodatkowo ja, jako autor tego tekstu z góry zastrzegam, że jestem zwolennikiem prywatyzacji. Proponowałbym, aby każdy kto ma ochotę w komentarzach opowiedział swoje doświadczenia ze służbą zdrowia, wspaniale by było gdyby wychwalały skuteczność państwowych szpitali, a ganiły nieudolność prywatnych – bo moja opowieść jest całkiem odmienna...

A było to tak... Jakiś czas temu moja ciocia, kobieta doświadczona życiem, ale mimo to pełna życzliwości do świata, zaczęła odczuwać bardzo silny ból biodra. Ból był tak intensywny, że praktycznie nie pozwalał się poruszać, zaś dolegliwości nie ustępowały nawet podczas leżenia. Nie było innej rady i trzeba było jechać na ostry dyżur. W szpitalu przyjęto nas gościnnie jak zwykle, kilku palących papierosy sanitariuszy życzliwie przyglądało się jak ciągnę wspierającą

się o kuli kobietę, gdyż nie dało się samochodem bezpośrednio podjechać pod sam szpital.

Po standardowym czasie oczekiwania w poczekalni ciocia została przyjęta na oddział chirurgii urazowej. Naiwnością byłoby wierzyć jednak, że sprawa jest załatwiona i wszystko będzie dobrze. Przez dwa tygodnie udało się wykonać w szpitalu trzy (tak, aż trzy) badania, wliczając w to rentgena na izbie przyjęć w pierwszym dniu pobytu. Po upływie tego czasu lekarze znaleźli przyczynę dolegliwości i orzekli, że trzeba chorą wypisać do domu, gdyż dalsze leczenie będzie prowadził lekarz rodzinny. Przy czym zaznaczono, że uraz jest operacyjny, czyli nie da się tego wyleczyć farmakologicznie, czy w inny nieinwazyjny sposób. Oczywiście szpital może pomóc, przecie po to jest, może zoperować ciocię... za półtora roku, gdyż tyle się oczekuje na operację. Czyli, (nie wątpię, że z czystym sumieniem) zaordynowali, aby pacjent spokojnie i godnie cierpiał z bólu przez półtora roku, znosił niewygody, był zdany na łaskę i niełaskę rodziny, gdyż sam wokół siebie nic zrobić nie może!

Cóż było robić. Okazało się, że w okolicy jest sprywatyzowany szpital, który taki zabieg może wykonać. Tydzień później ciocia została przyjęta do szpitala, w ciągu doby wykonano wszystkie niezbędne badania, a następnie przeprowadzono operację. Trzy dni po zabiegu ciocia mogła się samodzielnie, choć wciąż ostrożnie i powoli poruszać i została wypisana do domu. Całość zajęła dokładnie cztery dni. A koszty? Otóż szpital miał podpisaną umowę z NFZ i żadnych dodatkowych kosztów nie ponieśliśmy.

To właśnie z powodu takich historii jestem zwolennikiem prywatyzacji. Bo chcę być leczony skutecznie i szybko. Wszystkim zwolennikom obecnej sytuacji życzę dużo zdrowia, bo zdrowie jest najważniejsze.

Autor: Marek Bonarski

Zdjęcie z Flickr: oto-polska.blogspot.com

Źródło: [Dziennikarstwo Obywatelskie](#)

Na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne 2.5 Polska